

Express Poznański

60-959 POZNAŃ

ul. Grunwaldzka 19

Nr 228 z dn. 28 - 11 - 95

Po premierze w Teatrze Tańca

„Dziecko Słońca” rozpromieniowało w finale

Koniec wieńczy dzieło. I rzeczywiście finał nowego widowiska baletowego dla najmłodszych, przygotowanego przez Polski Teatr Tańca, był najlepszy. Porwał i naprawdę rozbawił widownię, a wykonawców zachęcił do bisu ostatniej sceny.

„Dziecko Słońca”, pierwsza u nas próba połączenia konwencji spektaklu baletowego z wykorzystaniem elementów gry komputerowej, popularnej formy spędzania wolnego czasu już omal przez przedszkolaków, jest bardzo dobrym pomysłem. I być może przyciągnie do teatru nowych widzów. Wszystkie dzieci, które zaczęłam na czwartkowej premierze, były w gmachu pod Pegazem po raz pierwszy.

Ewa Wycichowska (autorka choreografii i libretta) oraz jej tancerze, włożyli bardzo dużo swego talentu i pracy, by jak najstaranniej i najbardziej ciekawie przedstawić opowieść o niezwykłym Dziecku. O jego wędrówce przez pustynię, oazę, sawannę i dżunglę i przygodach z łowcami dzikich zwierząt. Cała menażeria w nieustannym, tanecznym wirze, toczy walkę dobrego ze złem, w której szczęśliwie to pierwsze zwycięża. Bohaterowie przedstawienia, m. in. małpy i koty, papuga i flamingi, antylopa, strus i zebra, niestety nie zawsze od razu rozpoznawalni - prezentują wysokiej klasy kunszt baletowy, a wielu także aktorski. Chciałoby się tutaj wymienić nazwiska wszystkich, ponad dwudziestu wykonawców. Ograniczę się przynajmniej do dwóch: **Kariny Adamczak**, znakomitej odtwórczyni tytułowej roli oraz **Wojtusia Sobiaka** - cztero, może pięcioletniego brzdąca, porawdziwego „dziecka słońca” i teatru.

Barbara Kędzierska zaprojektowała bardzo funkcjonalną oprawę scenograficzną, złożoną z trzech ścian wielkich ekranów ze zmieniającymi się, jak na monitorach, obrazami. Efektowne i barwne są też kostiumy.

Elementem zaś szczególnie poruszającym wyobraźnię młodego widza, fascynującym się bardziej komputerem, niż żywym teatrem, ma być w tym spektaklu muzyka Marka Bilińskiego. Mistrz w komponowaniu i przetwarzaniu dźwięków przez instrumenty elektroniczne, chwilami rzeczywiście frapuje - to pięknym tematem, oryginalnością skojarzenia, to znów wypunktowaniem scenicznej fabuły. Nim jednak doprowadzi swe dzieło do radosnego finału, po drodze (zwłaszcza w pierwszej części) zbyt często męczy banalnym hałasem, bądź jednostajnością, czyli po prostu nudą. Odnoszę wrażenie, że świetnemu fachowcowi od tego gatunku muzyki, zabrakło wystarczającej ilości pomysłów na pełne dwie godziny teatralnej zabawy.

ROMUALD POŁCZYŃSKI